



(Pan Wincenty fanduje. — Dwa „K“ w kieliszkach i jedno „K“ na talerzyku. — Zawód p. Wincentego. — Małżeństwo aktorki. — List Ilki Palmay. — Towarzystwo dla poprawienia rasy ludzkiej. — Poprawa rasy jako kwestya chleba.)

— Sługa złotego dobrodzieja!

Te wyrazy zabrzmiały mi w uchu, jakby wyrzucone z potężnej tuby okrętowej. Sądziłem, że nie są do mnie zwrócone, więc nie oglądając się, szedłem dalej, gdy nagle wsunął ktoś rękę pod moje ramię i znowu zawołał:

— Sługa złotego dobrodzieja!

— Dzień dobry — odpowiedziałem.

Byłem bardzo zdziwiony tą konfidencją pana Wincentego, który mnie często widywał w kawiarni lub handelku, ale nigdy się nie zbliżał do mnie. Nie potrzebował mnie, a, jak wiadomo, w Krakowie nie wdajemy się z tymi, których nie potrzebujemy. To też, ujrawszy koło siebie pana Wincentego, zadałem sobie zaraz pytanie: „Do czego ten człowiek potrzebuje mnie dzisiaj?“ Ale pan Wincenty sprawił mi drugą niespodziankę, wielce zagadkową, kiedy rzekł do mnie tonem, jak aksamit miękkim:

— Trzeba przepłukać gardło i coś przetrącić. Chodźmy pod „palmę“.

Nie miałem ochoty iść na „przepłukanie“ gardła zwłaszcza z panem Wincentem, człowiekiem wcale nie zabawnym, ale zwyciężyła ciekawość. Poszedłem do Hawelki, ażeby się dowiedzieć, jaki interes natchnął pana Wincentego taką miłością do mojej osoby.

— Dwa „K“ w kieliszkach i jedno „K“ na talerzyku — zawołał p. Wincenty, gdyśmy stanęli przy bufecie. Notabene owo „K“ nie było jego wynalazkiem. Wypiwszy koniak i spożywszy kawior przy bufecie, przeszliśmy do sali, ażeby tam spożyć właściwe śniadanie. I nie ma co mówić: pan Wincenty mimo przysłowiowego węża w kieszeni, był dobrym amfitryonem. Kusił mnie do picia i jedzenia, jakgdyby od tego zależało jego zbawienie.

— Dobre wino? — zapytał.

— Pyszne — odrzekłem, chociaż nie jestem znawcą win.

— Jeszcze jedną butelkę! — zawołał p. Wincenty.

Przy drugiej butelce p. Wincenty zaczął mówić o zbliżających się wyborach do Rady miejskiej. Stał się nagle nadzwyczajnie wymownym i dbałym o dobro miasta. Tak dbałym, że postanowił kandydować do Rady miejskiej.

— Potrzeba nowych sił wobec nowych zadań — prawil z zapałem. — Postanowiłem starać się o mandat radziecki, ponieważ mam przekonanie, że mogę być miastu pożytecznym.

— Szczęść Boże! — odrzekłem, ażeby tylko coś powiedzieć.

Rozmowa urwała się. Pan Wincenty umaczał usta w kieliszku, a potem zapytał, nachyliwszy się ku mnie:

— A dobrodziej na kogo głosuje?

— Ja nie posiadam prawa głosowania — odpowiedziałem, uśmiechając się skromnie.

— Ta-ak? — zawołał pan Wincenty i stał się nagle tak osowiałym, jak pogorzelec.

— Mieszkam od roku w Dębnikach, więc tam głosuję — mówiłem dalej.

— Płacić! — ryknął p. Wincenty.

Zapłacił kilkanaście koron, a potem rzekł do mnie:

— Przepraszam, że tak nagle uciekam, ale mam pilny interes, o którym zapomniałem.

Wyleciał z sali rozgniewany, a ja, zebrawszy kilku znajomych, opowiedziałem im o chybionych zabiegach jego o mój głos, mający walor tylko w Dębnikach.

Od wyborów przejść można odrazu do spraw aktorskich, gdyż wybory krakowskie są zazwyczaj komedią. Z dawien dawna ludzie, nie zajmujący się zresztą teatrem, roztrząsają kwestye, czy aktorka może być dobrą żoną, gospodynią domu i matką. Rozpisywano na ten temat ankiety, a odpowiedzi brzmiały mniej więcej w połowie twierdząco, a w połowie przecząco. Nawet aktorki nie dawały jednakić odpowiedzi. Jedne zapewniały, że zawód sceniczny nie przeszkadza kobiecie w spełnianiu obowiązków żony, matki i pani domu, że Hedda Ga-



Fot. T. Bahrynowicz. Lwów.

Antonina Ogińska.

bler, powróciwszy ze sceny do domu, przyszywał może mężowi guziki do kamizelki, co, jak mawiał ś. p. Bałucki, należy do obowiązków żony. Drugie natomiast energicznie sprzeciwiały się temu, ażeby aktorki zawierały śluby małżeńskie. Te drugie twierdziły, że aktorka może być jeszcze dobrą żoną, ale na zajmowanie się gospodarstwem nie ma czasu. Nie ma zresztą wogóle powołania do tego rodzaju „filisterskich“ obowiązków i choćby nawet przymusiła się do nich wysiłkiem woli, to albo stanie się nieszczęśliwą na całe życie, albo zerwie więzy, które krepują artystyczne jej aspiracye. Nawet, gdyby wyrzekła się sceny, to i tak pozostanie jej wieczna tęsknota i uczucie zawiedzionych nadziei.

Kto ma słuszość? Czy ja wiem? Trzebaby czynić studia nad małżeńskim pożyciem aktorek. Nie mam do tego sposobności, ale natomiast przytaczam sprawę Ilki Palmay, słynnej aktorki węgierskiej, która niedawno wyszła za mąż za hr. Eugeniusza Kinsky'ego. Dzienniki budańskie i wiedeńskie podają list, pisany przez Ilkę Palmay do jednego z jej przyjaciół, a donoszący, że była aktorka chce powrócić koniecznie na scenę.

„Nareszcie — pisze Ilka Palmay — ziszczę się moje plany, o których mówiłam podczas mojego ostatniego pobytu w Budapeszcie. Będę znowu wolną. Mój mąż, który dla mnie zawsze był dobrym i teraz długo usiłował odwieść mnie od pożądanego zamiaru, rozchodzi się ze mną w zupełnej zgodzie, a ja również chcę w spokoju przeprowadzić rozwód. Niema gniewu między nami. Widzę poprostu po upływie długiego czasu, że etykieta, trzymające się formułek życia arystokratów, nie jest dla mnie. W żyłach moich krąży krew czerwona, ognista, węgierska krew. Ta krew pędzi mnie z powrotem na scenę i daremniebym próbowała ten popęd zwalczać. Nie mogę mej tęsknoty stłumić i muszę ustąpić przed olbrzymią namiętnością, która gra we mnie. Próbowałam wszystkiego. Usunęłam się w zacisze naszych dóbr w Karyntyi, próbowałam, jako arystokratka, żyć w Wiedniu, ale koniec był zawsze ten, że mnie ciągnęło do sceny, że do niej często wracałam. Mąż mój jest arystokratą i zawsze uważał to za niestosowne, gdy występowałam na scenie. Skutkiem tego między nami powstawały nieporozumienia. On mojej tęsknoty nie może zrozumieć i skutkiem tego również i mnie zrozumieć nie może.“

Tak pisze Ilka Palmay. Jak się zdaje, aktorka nie uczuwa w domu tych więzów, które na nią nakłada małżeństwo z nieaktorem. Aktor zrozumie

aspiracye swej żony aktorki, inny człowiek zazwyczaj upatruje wadę tam, gdzie żona jego aktorka widzi zalety. Powiadają ludzie, że aktorzy, artyści i literaci nie powinni się żenić. Czy to prawda? Niedobre małżeństwa są we wszystkich sferach i zawodach.

Pomówmy z kolei o małżeństwach. Jak donosi „Temps“, pewien inżynier w Bordeaux, nazwiskiem Alfred Pichon, człowiek zresztą poważny, celem poprawy rasy ludzkiej założył specjalne towarzystwo. Nie śmieję się czytelniku „honny soit, qui mal y pense“. Pan Pichon pod nazwą „L'Elite“ zakłada stowarzyszenie, którego członkami zostać mogą tylko ci mężczyźni i te kobiety, którym rada nadzorcza wyda świadectwo piękności, a lekarze świadectwo zdrowia. Członkowie i członkinie tego stowarzyszenia mają obowiązek tylko pomiędzy sobą zawierać małżeństwa, a p. Pichon sądzi, że w ten sposób pięknem i zdrowem potomstwem członków „Elity“ poprawi rasę ludzką. Niestety, we Francyi z dawien dawna panuje zwyczaj, że małżeństwa nie chcą mieć wcale dzieci, albo co najwięcej dwoje, gdyby więc towarzystwo Pichona liczyło nawet bardzo wielu członków, skutek byłby niewielki z tej utopii.

Poprawić rasę ludzką mogą tylko ulepszone warunki bytu. Gdyby ludzie pracowali nie tak ciężko, gdyby odżywiali się lepiej i mieszkali również lepiej, to nie mielibyśmy tyle dzieci anemicznych, rachitycznych i t. p. Kwestya chleba jest kwestyą piękności i zdrowia rasy ludzkiej. K. e.

## Antonina Ogińska.

Rara avis na scenie, choć młoda, a utalentowana artystka. U nas już tak bywa...

Jest uczennicą szkoły dramatycznej Derynga z Warszawy. Kształciła się na naiwną, bo ten rodzaj odpowiadał jej najlepiej... Ale po naszych teatrach jest za dużo naiwnych, o wiele starszych... więc i pani Ogińska miała nie mało konkurencyi...

Pamiętam jej pierwszy występ w teatrze im. Al. hr. Fredry w Stanisławowie. Grała w „Broni niewieściej“. To był debiut, po którym ówczesny dyrektor p. Wład. Antoniewski zaangażował tę „perełkę sceniczną“ na stałe... Niestety, cały teatr nie mógł być stałym... I pani Ogińska powędrowała do Poznania, gdzie przez jakiś czas grywała z takim powodzeniem, że mogła stamtąd już bez trudności otrzymać stałe engagement do Lwowa za dyrekcji Hellera.

We Lwowie podoba się, grywa często i coraz lepiej, a w r. 1900 wraz z innymi przechodzi pod opiekuńcze rządy p. Pawlikowskiego. Jest tu do-  
tąd, chociaż, jak powiedziałem, na scenie widzi się ją dość rzadko. A szkoda...

Pani Ogińska ma bezsprzecznie duży talent nie tyle może do naiwnych w guście talentu panny Jankowskiej, ile do ról lirycznych, nawet liryczno-naiwnych, jakich mamy dość nawet i w nowych dramatach. Jest przytem artystką bardzo... szanującą się i pojmującą swe zadanie poważnie. Dzięki temu każda jej rola czy rolka wypada zawsze poprawnie i sprawia miłe wrażenie.

Reżyserya ceni sobie panią Ogińską i szanuje, nawet bardzo ją szanuje... więcej, aniżeli sama żąda... A powinno się ją stanowczo częściej widzieć na scenie, bo bez mała w każdej sztuce znalazłoby się dla niej rolę...

Exterieur bardzo sympatyczne, głosik dzwiczny i miły, a wreszcie t. zw. nerw sceniczny składają się na wcale powabną i zdolną artystkę, która poszła na scenę nie dla zabicia czasu lub zrobienia interesu, ale poszła z popędu...

Poza tem bez pretensyi... Cicha, a skromna, nie stara się imponować toaletami, nie wypełnia swoimi „czynami“ kronik miejscowych dzienników, nie intryguje za kulisami, nie wchodzi nikomu w drogę... o, pardon...

Raz tylko wlaźła w drogę, a raczej w oko dziennikarzowi tutejszemu p. Szenderowiczowi i to tak niebezpiecznie, że ten ożenił się przed kilku laty z p. Ogińską i tworzy z nią od-  
tąd szczęśliwe stadło małżeńskie. Kł.

## Kącik humorystyczny.

### Przyjaciółki.

— Wyobraź sobie pani, ciotka moja cały swój majątek zapisała fundacyi dla starych panien.

— Widzi pani! A posadzałaś ją pani, że chce panią wydziedziczyć.